

Felieton – Czas nagli
Czesław Kulesza

„Pokój” to jedno z tych słów, które w polityce brzmią dobrze niezależnie od treści. Każdy go obiecuje, każdy się na niego powołuje, nikt nie chce wyglądać na jego przeciwnika. Problem w tym, że podobnie jak „porządek”, pokój coraz rzadziej oznacza realny stan bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Coraz częściej staje się abstrakcją — hasłem, które ma uspokajać, a nie opisywać rzeczywistość.

Gdy spojrzeć na Wenezuelę, Strefę Gazy i Ukrainę, widać trzy różne formy przemocy, ale jedną wspólną narrację: działania siłowe — militarne lub ekonomiczne — przedstawiane są jako warunek przyszłego pokoju. Najpierw destabilizacja, potem „porządkowanie”, na końcu obietnica normalności.

Wenezuela nie jest dziś teatrem wojny w klasycznym sensie. Nie ma tam frontów ani bitew. Jest za to agresja polityczno-ekonomiczna: sankcje, blokady finansowe, delegitymizacja władzy i zapowiedź, że „ład” zaprowadzi opozycja gotowa na radykalne zmiany gospodarcze — w tym szeroką prywatyzację. Pokój w tej narracji ma nadejść wtedy, gdy kraj wróci na właściwe tory globalnej gospodarki. Czyli wtedy, gdy podporządkuje się nowemu układowi sił.

Palestyna, a szczególnie Strefa Gazy, pokazuje brutalniejszą wersję tego samego mechanizmu. Tutaj pokój również jest obietnicą odroczoną — czymś, co ma nadejść „po zakończeniu operacji”, „po zapewnieniu bezpieczeństwa”, „po zneutralizowaniu zagrożenia”. Tymczasem prawo międzynarodowe, ochrona ludności cywilnej i elementarne normy humanitarne zostają zawieszone. Pokój nie jest celem samym w sobie, lecz nagrodą warunkową, do której dostęp kontroluje silniejszy.

Ukraina to trzeci wariant tej samej logiki. Wojna pełnoskalowa, agresja nazwana po imieniu, realne wsparcie międzynarodowe. I znów — słusznie. Ale także tutaj coraz częściej mówi się o pokoju nie w kategoriach bezpieczeństwa ludzi, lecz nowego ładu: przyszłych gwarancji, stref wpływów, architektury bezpieczeństwa, rekonstrukcji gospodarczej. Pokój staje się elementem negocjacji geopolitycznych, a nie końcem przemocy jako takiej.

Wszystkie trzy konflikty wpisują się w proces tworzenia nowego porządku światowego. Stare reguły — prawo międzynarodowe, nienaruszalność granic, suwerenność państw — przestają działać jednolicie. Pozostaje świat stref wpływów, wyjątków i selektywnego stosowania zasad. Jednym wolno więcej, innym mniej. Jedne konflikty są „zagrożeniem dla pokoju światowego”, inne „regionalnym problemem”.

Lewicowa refleksja musi tu wyjść poza moralne oburzenie. Chodzi o coś bardziej strukturalnego: pokój bez sprawiedliwości staje się narzędziem dominacji, a porządek bez równości — zapowiedzią kolejnego konfliktu. Jeśli nowy ład ma opierać się na sile, sankcjach i przymusie ekonomicznym, to jego trwałość będzie pozorna.

Najbardziej niepokojące jest to, że te konflikty nie wygaszają napięć — one je akumulują. Każda agresja usprawiedliwiona „koniecznością”, każde prawo zawieszone „tymczasowo”, każdy pokój obiecywany „po reformach” przesuwają granicę akceptowalnej przemocy. A świat, w którym granice te przesuwają się zbyt często, zbliża się nie do stabilizacji, lecz do konfliktu o charakterze globalnym.

Bo jeśli pokój staje się abstrakcją, a porządek — narzędziem, to jedyną realną walutą pozostaje siła. A historia uczy, że świat rządzony w ten sposób nigdy nie zatrzymuje się na jednym

froncie.

Czas nagli, bo nowy ład budowany bez pokoju zawsze kończy się jego całkowitym brakiem.

Czesław Kulesza